Marsz równości

Poznań 2005

Błażej Warkocki

Podobno ludzi zmieniają wydarzenia, a nie książki i chyba coś w tym jest, bo to się stało w Poznaniu na Półwiejskiej 19 listopada 2005 już na zawsze pozostanie częścią mojej wewnętrznej biografii. Tak wiem, to duże słowa, ale ciągle jeszcze jestem w lekkim szoku po wczorajszych wydarzeniach, których nadal nie potrafię jakoś emocjonalnie zintegrować.

Ale od początku. Na samej górze Starego Browaru odbywa się konferencja, jest miło i sympatycznie. Podczas ostatniego panelu, o marszach równości, zaczyna być już trochę mniej miło, bo pojawiają się "obserwatorzy" z MW. Jakiś koleś usilnie nas - to jest panelistów - fotografuje. Marta Jermaczek usiłuje z nim rozmawiać i pytać, kim jest. Siedzę za daleko, żeby wiedzieć, co z tego wynikło.

Po panelu wychodzimy z sali. Spotykam koleżanki i pytam o nastroje. "Marne", odpowiadają. Właśnie weszły do Browaru i widziały wokół całą masę policji, zwykłej, konnej, opancerzonej, do wybory do koloru. Jest ich naprawdę dużo, okolica wokół Browaru jest obstawiona. "Tak musiał wyglądać stan wojenny", mówi jedna z koleżanek.

Wychodzimy na taras, palimy papierosy. Jest pomysł, żeby nie zjeżdżać na dół, na Półwiejską, tylko iść drugą stroną, przez park, gdzie nie ma policji i kiboli. Pomysł niebezpieczny, bo kibole i MW mogą się zorientować szybciej niż policja. Poza tym na dole już są ludzie.

Zjeżdżamy ruchomymi schodami przez jedno z największych centrum handlowych na Półwiejską. Po drodze rozmawiam z francuską dziennikarka i tłumaczę jej, że w Polsce nie było i nie ma prawdziwej lewicy, istnieją natomiast partie komunistyczne. Chyba nie rozumie. Mówi natomiast, że we Francji w partiach prawicowych są politycy, którzy są gejami i nie ukrywają tego faktu. "Tu jest inaczej", mówię. Umawiamy się na kawę "po wszystkim", żeby dokończyć rozmowę. Ale z powodów od mnie niezależnych już nie uda mi się z nią spotkać.

Wychodzimy na Półwiejską. Jestem w ogonie, ale widzę że manifestacja nie zaszła daleko, po kilkudziesięciu metrach zatrzymała się na szpalerze policjantów, którzy wyglądają jak antyterroryści, tarcze, kaski, te rzeczy. Niedługo potem za nami pojawi się drugi szpaler. Jesteśmy zamknięci w czymś w rodzaju

prostokąta na Pólwiejskiej - przed nami i za nami policja (a za nimi kibole krzyczący coś o pedałach do gazu), a po bokach sklepy, które już zdołały się zaryglować. Z rozmów telefonicznych wiemy, że niektórym ludziom już nie udało się do nas przedostać. Jesteśmy odcięci.

Czołówka manifestacji usiłuje iść do przodu, skanują hasła typu: "pokojowa manifestacja", "wolność, równość, tolerancja", "stop nienawiści", "to są jaja z demokracji". Policja ze swoimi tarczami jest jednak nieprzejednana. Kibole rzucają jajkami, ktoś mówi o kamieniach. Najbezpieczniej jest przy witrynach sklepowych, bo chyba nie będą rzucać w szyby Browaru. Czołówka manifestacji zmienia strategię i zaczynamy krążyć w kółko w przeznaczonym nam prostokącie, skandując "demonstracja na okrągło". Chcą nas wziąć na przeczekanie, myślimy. Jest właściwie piknikowo (to ta pierwsza część wydarzenia), palimy, rozmawiamy. Tyle tylko, że po "naszym" prostokącie przechadzają się policjanci i spisują ludzi.

Energia trochę pada, bo nie widać wyjścia z sytuacji. Ktoś z okna na trzecim piętrze pomachał flagą Unii Europejskiej, tłum zawył z radości. W ogóle było bardzo głośno, skandowano hasła przez megafon, od czasu do czasu kibole zawodzili swoje faszystowskie śpiewki, policja też coś nadawała przez megafon. Zaczęło się robić coraz ciemniej. Niektóre osoby, w tym ja, zapalały świeczki (w intencji dogorywającej demokracji w Polsce). Chodzimy w kółko z tymi świeczkami, zaczyna padać grad, jest zimno. Niektórzy próbują wyjść z prostokąta i jakoś im się to udaje. Od koleżanki wiem jednak, że na kilka minut przed momentem zero już nikogo nie wypuszczano, policja nie pozwalała.

Razem z Lechem, Dominiką i Agnieszką usiłujemy przedrzeć się do organizatorek i zasugerować koniec imprezy, bo nic już się nie da zrobić. Dobrze byłoby zakończyć jakoś symbolicznie i zrobić ze świeczek, które nosimy ze sobą, pacyfkę na ulicy.

W końcu Agata Teutch wchodzi na klomb i przez megafon zaczyna ogłaszać koniec (wszystko trwało ponad godzinę). Koniec teraz, ale nie koniec w długiej perspektywie. Policja musi to słyszeć. Agata prosi o zrobienie miejsca i ułożenie ze świeczek wielkiej pacyfki jako symbolicznego zakończenia. Usiłuję podejść i położyć świeczkę, jestem blisko kordonu policji. I wtedy dzieje się coś, czego nie rozumiem i co oglądałem jak na zwolnionym filmie. Kordon policji - kolesie opancerzeni od stóp do głów - rusza do przodu i zaczyna wyłapywać ludzi z tłumu. Część ludzi ucieka i rzuca się do tyłu, ja jestem tuż przy kordonie więc od razu dostaję się w objęcie panów antyterrorystów. Łapią kogo się da, raczej omijając organizatorki. Jestem jak zahipnotyzowany, bo nic nie rozumiem. Przecież oni wiedzieli, że to koniec, że robimy tę pacyfkę

i się rozchodzimy. I dokładnie w tym momencie zaczęli łapankę. "To nie ma sensu", myślę prowadzony do policyjnej suki. Kątem oka widzę, jak kogoś ciągną za ciuchy. Staram się myśleć racjonalnie i zaczynam pytać "mojego" policjanta o nazwisko, ale nie chce gadać. W końcu wyrzuca z siebie jakiś ciąg cyfr, próbuję wyciągnąć kartkę i zapisać, bo stoję już przy suce. Nie bardzo się da, ale coś tam zasmarowuję (83686). Jakiś ważniak siedzący w suce pyta mnie, jak się nazywam, a potem kto mnie przyprowadził. Wilkowski - przedstawił się mój policjant. A więc jednak ma pan nazwisko - mówię.

Wsadzają nas do suki, osiem osób. Zostajemy zamknięci, patrzymy na siebie i nie rozumiemy, o co właściwie chodzi. Po co tyle zachodu. Próbujemy żartować. Odzywają się nasze komórki. W pewnym momencie wszystkie osiem osób, ciasno posadzone obok siebie, z komórka przy uchu, zaczęło na gorąco relacjonować, co się dzieje. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że w miejscu zdarzeń ciągle jest gorąco, łapanka trwa. Chłopak siedzący naprzeciwko mnie powiedział, ze podczas zaciągania do suki dostał po twarzy.

Siedzimy na korytarzu komisariatu na Marcinkowskiego. Nagle orientujemy się, że jest nas tylko pięć osób, gdzieś po wyjściu z suki zaginęły pozostałe trzy. Policjanci, którzy nas pilnują, mówią, że zaprowadzono ich gdzie indziej. Jesteśmy niedoświadczonymi opozycjonistami i nie do końca wiemy, jak się zachować. Zaczynamy wymieniać się numerami komórek, żeby potem posprawdzać, czy wszyscy wyszli i czy wszystko jest ok. Jedna z aresztowanych, Agnieszka, dzwoni do znajomych, żeby nakarmili jej chomika, bo nie wiadomo, jak długo tu posiedzimy. Palimy papierosy. Jakaś kobieta w cywilu, prawdopodobnie ważna, rzuca się, że tu nie wolno palić. Ale tu jest popielniczka z niedopałkami, mówimy. "To nie dla was!", krzyczy. "A dla kogo?", pytamy. Nie odpowiada, znika za drzwiami swojego pokoju. Niestety, nie udało mi się sprawdzić, jak się nazywa.

Po kolei ludzie są wprowadzani za różne tajemnicze drzwi i przesłuchiwani, i oskarżani. Wchodzę jako ostatni, więc rozmawiam z chłopakiem, który już wyszedł. Pytam - i co? Oskarżony o uczestnictwo w nielegalnym zgromadzeniu. "Ale to mi się przyda", mówi. "I tak chciałem strać o azyl w Kanadzie" (powód: orientacja seksualna). Zaczynam czuć się dziwnie - więc tak to będzie teraz wyglądać? Tego wieczoru jeszcze kilka razy usłyszałem, że należy z tego kraju spieprzać.

Potem odbyło się moje przesłuchanie i odczytanie mi zarzutów. Zachowałem się oczywiście głupio, bo potwierdziłem uczestnictwo. Potem dowiedziałem, że należało działać tak jak

anarchiści (oni mieli doświadczenie, ja nie) - nic nie mówić, nic nie podpisywać.

Właściwie byłem ciągle w szoku i zachowywałem się jak bezmyślny automat, ale zdziwiło mnie, że pytają mnie o zarobki. Teraz zaczynam rozumieć. Chodzi o to, żeby ciągać nas po sądach i przywalić taką grzywnę, że się nie pozbieramy i na zawsze odechce nam się manifestować.

Przed budynkiem komisariatu na Marcinkowskiego stała pikieta, wychodzili kolejni zatrzymani. Ktoś trzymał transparent, ludzie byli bardzo poruszeni. Dowiedziałem się, że zatrzymano kilkadziesiąt osób, w tym wielu bardzo młodych: studentów, licealistów. Swoja drogą dobrze byłoby wiedzieć, ilu kiboli i innych, którzy wznosili faszystowskie okrzyki zatrzymała policja (w każdym razie w moim komisariacie nie widziałem żadnego). Jakiś policjant przez megafon mówił, że mamy się rozejść, bo to zgromadzenie też jest nielegalne. Łatwo powiedzieć, dookoła kursowała jakaś grupka łysoli i mało sensownie byłoby rozchodzić się pojedynczo. Ale tym policja zainteresowana nie była.

Przemieściliśmy się kawałek dalej, gdzie stał wóz transmisyjny TVN. Rzecznik policji miał bowiem przemówić. Bardzo chętnie postałbym i posłuchał, dlaczego w chwili, gdy pikieta się kończyła, rzuciła się na nas policja, ale nie sądzę, by o tym mówił. Mam dosyć. Przez telefon umawiam się na spotkanie ze znajomymi.

Wieczorem lądujemy w Cafe Mięsna, gdzie miał się odbyć koncert Duldunga i podsumowanie. Dowiaduję się kolejnych rzeczy, kilka zobaczyłem też już w telewizji. W chwili zakończenia demonstracji policja zaczęła wyciągać ludzi z tłumu. Część siadała na ziemi w grupach. Kolesie w kominiarkach wyrywali ludzi z grup i ciągnęli po ziemi do suk policyjnych, kogoś poszarpali, ktoś dostał policyjną pałką w głowę, ktoś zgubił plecak. Wyglądało to koszmarnie, bo manifestacja była totalnie pokojowa, do samego końca, nie poszła ani jedna szyba. Kilkadziesiąt osób zamkniętych w kordonie policyjnym miało przechlapane. Symbolicznym pozostanie, że policja z wielkim upodobaniem rozkopywała pacyfkę ze świec na ulicy. I nie mniej symboliczne będzie, że znaleźli się ludzie, którzy ją na powrót ustawili.

Piszę to wszystko, bo nadal jestem w szoku i próbuję zrozumieć, co się stało. Tak, prezydent Grobelny nie zezwolił na demonstrację - łamiąc konstytucyjne prawo do wolności zgromadzeń. Powiedział przy okazji, że nie zezwoli na żadną demonstrację, która zakłóci porządek publiczny (a jednak nie zakazuje meczy piłkarskich, gdzie dochodzi do ostrych burd). Nie potrafię zrozumieć, bo wiem, że rozmowy z policją przed marszem były prowadzone i że

uzgodniono konsensus. Wszystko zmieniło się po zakazie Grobelnego, nagle policja zaczęła opowiadać, że marsz zagraża obywatelom (pisała o tym Marta Jermaczek w liście do "Wyborczej"). Nie mam wątpliwości, że impuls do siłowego rozpędzenia pokojowej manifestacji (nawet jeśli nielegalnej), która już się kończyła, poszedł "z góry". Żeby pokazać, kto tu rządzi. Nie mam też wątpliwości, że to nie koniec (czeka nas rozprawa sądowa i grzywna). Nie zapomnę widoku opancerzonych policjantów wyciągających ludzi z tłumu, ani ciągania licealistów po ulicy. Nie zapomnę tego chwilowego wahania policji, gdy ludzie zaczęli krzyczeć: ZOMO.

Byłem w swoim życiu na kilku marszach, w tym dwóch nielegalnych. Pamiętam jak ktoś mi powiedział, że trzeba chodzić, póki można.

Już nie można.

Błażej Warkocki